

Czytając tę powieść, poczujesz się jak w rollercoasterze. Trzymaj się mocno!

FRAMENTY

TOM I

I

Jędrrek przesiedział dobrą godzinę przy stole, zastanawiając się, po co w ogóle wpuszczał była żonę. Przez lata zmywał ją z siebie setki razy: alkoholem, kobietami, pracą. Nie chciał szukać odpowiedzi, zgłębiać, wyjaśniać ani znać żadnych szczegółów. Pragnął tylko zapomnieć, wywabić z głowy jak tłustą plamę z ulubionych dzinsów. Wreszcie doszedł do punktu, w którym nabrał niezachwianej pewności, że wraz ze swoim nowym, lepszym życiem zdołał wszystkie związane z nią myśli powyrywać jak chwasty i spalić w ognisku pamięci tak dokumentnie, by nie zostało nic poza resztką chłodnego popiołu. Tymczasem wystarczył jeden wieczór, żeby nabrać obaw, iż to jedynie ułuda.

Wszystkie silne przeżycia zostawiają ślady. Niedokończone, zgaszone w połowie myśli nie dają się upchnąć w żadnej bezpiecznej szufladzie. Błądzą po krańcach świadomości, objijając się o ściany ludzkiej duszy mniej lub bardziej głośnym echem, i tylko czekają na okazję, żeby wyjść na wierzch i upraszać się o należną im uwagę. Stłumiony żal jest jak upiór, który nie zaznał spokoju. Nigdy nie zasypia, wciąż gotów ukazać się w pełnej krasie i rzucić światu wszystkie pomijane dotąd pytania: „dlaczego?”.

Bliński przez chwilę otarł się myślami o matkę i ojca. Rzadko ich wspominał, stanowczo za rzadko. W końcu wstał, wygrzebał z szafki butelkę ballantine’a, nalał dobre pół szklanki i uzupełnił kostkami lodu. Pociągnął spory łyk. Smętnie poczłapał do małego gabinetu zwanego przez wszystkich pierdzielnikiem, pewnie z powodu nieładu. Tak, coś mogło w tym być. Usiadł przy biurku, otworzył laptopa i uruchomił ostatnio używany plik.

Kwadrans później podjął ostateczną decyzję, że nie wspomni Edycie o tych niespodziewanych, zaskakujących odwiedzinach. Nad ranem, gdy oderwał się od komputera, w ogóle już nie pamiętał, że miał gościa.

II

Pod dom zajechał po dwudziestej drugiej. Nabrał obawy, że Edyta

demonstracyjnie poszła spać, żeby się z nim nie spotkać. Zgodnie z pierwotnym planem miał wrócić dopiero nazajutrz, jednak przecież obiecał, że się postara... A skoro obiecał, powinna się go spodziewać.

Otworzył bramę i wjechał na podwórko. Ciemność w oknach nie zdziwiła go za bardzo, bo idealnie korespondowała z krajobrazem po bitwie. Albo przed bitwą. Za to brak toyoty na podwórku nieco go zaskoczył. Wtedy przypomniał sobie, że właśnie zaczyna się długi weekend. Edyta mogła zabrać syna w plener i gdzieś zabalować: na plażę, w kinie czy chociażby u Beaty, z którą ostatnio wyraźnie się zaprzyjaźniła.

Otworzył dom i automatycznie ruszył do kuchni. Zobaczył na stole otwartego laptopa i kubek z zimną resztką kawy. Kufa nie dopadła go w podskokach, z czego wynikało, że szwenda się gdzieś razem z resztą rodziny. Zajrzał do lodówki, bo lekko go ssało po podróży. Skonstatował ze smutkiem, że poza kilkoma butelkami piwa ziele pustką. Typowe, choć nieco zalatywało żulernią. Wściekła Edyta zwykle zapominała o jedzeniu. Pomyszkował po szafkach i znalazł paczkę herbatników. Zawsze coś. Chrupiąc ciastka, zastanawiał się smętnie, co będą konsumować w wolny od handlu świąteczny czwartek. W końcu machnął na to ręką. Ostatecznie popłynie na ryby albo skoczy do jakiejś Żabki.

Wypił kawę i spojrzął na zegarek. Późno. Wziął do ręki komórkę i wybrał połączenie. Jakaś obca paniusia cierpkim, martwym głosem poinformowała, że numer jest niedostępny lub poza zasięgiem. Pieprzenie.

Czując, jak ogarnia go złość, zadzwonił do Grzesia.

Niedostępny lub poza zasięgiem.

To już go porządnie zirytowało. Wrócił do samochodu, przytachał torbę z podręcznymi klamotami i ciężkie pudło wywleczone z bagażnika. Torbę rzucił niedbale pod drzwiami łazienki, z pudłem ruszył do gabinetu. Już w progu potknął się o leżące na podłodze rzeczy. Ciężar wymsknął mu się z rąk i spadł prosto na jego nogę. Zaklął szpetnie i chwycił się za stopę, drugą ręką zapalając światło. Zdębiał.

Sam nigdy nie zdołał tu tak nabałaganić. Tornado przy tym to lekki zefirek smagający płatki maków nad modrą wiosenną łąką. Nie chciało mu się walczyć, pozbierał więc tylko rozsypane z pudła szpargały, zgasił światło i wycofał się, zamykając drzwi. Przytachany bagaż ustawił w kącie sypialni.

Musiała się nieźle wkurzyć. Cholera, może naprawdę ubzdurzyła sobie jakiś romans? Tak całkiem na serio, a nie jak zwykle. Wydało mu się to tak nedorzeczne, że stopiło całą irytację. Był niemal pewien, że obrażona, postanowiła zanocować u Beti. Dlatego już na luzie wziął prysznic i z książką w ręku wysączył butelkę zimnego piwa. Usnął sporo po północy.

III

Przesiadł się na podłogę przy leżance, podciągnął cienki materiał kwiecistej, bawełnianej tuniki Ani, przytulił twarz do napiętej skóry jej brzucha i zamilkł na dłuższą chwilę.

Za każdym razem w tę niewątpliwą przyjemność bycia we troje wdzierały się trudne wspomnienia sięgające wydarzeń sprzed niemal siedmiu lat, kiedy Ania przechodziła przez pierwszą ciążę sama, ze świadomością, że jej dziecko ma poważną wadę serca. Wojtek nie miał pojęcia o tym, że Zuzia przyjdzie na świat, i niezaprzeczalnie ponosił odpowiedzialność za ten stan rzeczy. Wciąż nie potrafił pozbyć się żalu do samego siebie i nawracających falami wyrzutów sumienia. Jego żona, niczym perfekcyjnie nastrojone radio, doskonale potrafiła wychwycić jego nastrój.

– Wojtuś... – szepnęła, głaszcząc go po włosach. – Nie myśl o tym. Bądź z nami tu i teraz.

Nikommu więcej nie pozwalał tak do siebie mówić. Nikt inny nie mógłby zdobyć się na taką poufałość. Nie było na świecie osoby, która znałaby go tak dogłębnie jak ona. Nawet Edyta, niewątpliwie bardzo mu bliska, odpadała w przedbiegach.

– Jestem – odpowiedział równie cicho. – I bardzo was kocham, wszyst... Auuu! – krzyknął nagle, bo precyzyjnie wymierzony cios mikroskopijną stopą trafił go prosto w oko.

Odskoczył, trzymając się za obolałe miejsce. Smętna zaduma pękła z hukiem jak przekłuty balon. Ania nie kryła uciechy.

– Myślisz, że zostanie ci limo? Chwacka dziołcha, już stawia ojca do pionu! – skomentowała, dusząc się ze śmiechu. – Zapowiada się

IV

Dzwonek zaterkotał bladym świtem, wrywając Wojtka ze snu. Rawicki poderwał się nieprzytomnie i nerwowo omiótł wzrokiem pokój.

Przez chwilę siedział z głupią miną i zastanawiał się, co oznacza ten dźwięk. Jakoś nie przypominał sielskiej, łagodnej melodyjki na bazie nut Beethovena, którą jakiś czas temu ustawił sobie jako budzik. Ospały mózg leniwie szukał właściwych skojarzeń. Kiedy wreszcie z nagłym błyskiem zrozumienia załapał, że to sygnał rozmowy przychodzącej, w pokoju zapadła cisza. Zerknął na puste miejsce obok siebie i momentalnie oprzytomniał. To na pewno Ania dzwoniła ze szpitala. Może znowu coś się dzieje. Niecierpliwie sięgnął po komórkę, sprawdził historię połączeń i pokiwał głową. Z cichym westchnieniem wyslizgnął się z łóżka.

Odbębnił wizytę w toalecie i po nieznacznym wahaniu machnął ręką na poranną gimnastykę. Wyszedł z pustej sypialni i zajrzał przelotnie do Zuzi, konstatuując z zadowoleniem, że jeszcze śpi. Zbiegł dziarsko po schodach, zaparzył kawę i z pełnym kubkiem wybrał numer szwagra.

Bliński odebrał niemal natychmiast; pewnie czekał z komórką

w ręce. Nie wróżyło to dobrze.

– Są? – spytał Rawicki ze ściśniętym gardłem.

– Nie. Niech to diabli, nigdzie ich nie ma. Ani śladu. – Z głosu Jędrka dało się wyczytać, że resztkę jego spokoju rozwiała się gdzieś hen, po karsiborskich mokradłach.

Wojtek miał poważne wątpliwości, czy szwagier w ogóle tej nocy zasnął.

– Dzwoniłeś do Bańcówków?

– Gdzie?

– Do Bańcówków z Kościeliska. Do jej ulubionej tatrzańskiej mety. Masz ich numer? Mówię ci, chłopie, zaszła się gdzieś. Jeśli nie w Wiartlu, to tam albo w Pieninach u tego flisaka co zawsze, Huberta czy Henryka. Jakoś tak. Huberta chyba. Więcej miejsc jej spektakularnych exodusów nie kojarzę.

– Nie wiem, czy mam numer... Raczej nie. Jeszcze tam z nią nie byłem. Słuchaj, co ja mam robić? Ich telefony są cały czas wyłączone. Rawicki uznał, że musi wziąć sprawy w swoje ręce, zanim szwagier całkiem się rozsypie. Ciężko będzie uspokoić go zdalnie.

– Przede wszystkim nie panikuj. Jesteś w domu?

– Nie.

– Daleko masz?

– Z pięć kilometrów. Co za różnica?

– To wracaj. Jedź na chatę i powęsz w szafach. Sprawdź, czy zabrali jakieś torby albo walizki. Może brakuje ciuchów i innych podstawowych rzeczy. Wiesz, szczoteczka do zębów, szampon czy co tam jeszcze – tłumaczył Wojtek, podgrzewając mleko w garnuszku.

– Przecież każdy ma coś, bez czego się nie rusza z domu.

Ja w tym czasie obdzwonię wakacyjne azyle Edyty. Znajomego z Wiartla poproszę, żeby zajrzał do nas na działkę i sprawdził, czy tam nie balują. Dam ci znać od razu, gdy posprawdzam. Do Łodzi na pewno nie przyjechała. Przecież poza nami nie miałyby się gdzie zamelinować.

– Żadnych koleżanek? Nic?

Rawicki wyciągnął z szafki dwie kwieciste miseczki, wkroił do każdej po bananie i odpowiedział z pełnym przekonaniem:

– Głupio się pytasz. Znasz ją, wiesz, jak tu żyła. Na wszelki wypadek podjadę na cmentarz. Jeśli pojawiła się chociaż na chwilę, nawet przejazdem, w mieście, na pewno zajrzała do Agaty. Tam nikt poza nami nie chodzi, więc sprawa będzie jasna. A ty sprawdzaj szafy i czekaj na mój telefon.

TOM II

I

Wszystko stało się tak szybko i niespodziewanie, że już na drugi dzień Edyta Blińska nie była w stanie ułożyć sobie tych wydarzeń

we właściwej kolejności. Zwały się w jedno prawie nierealne wspomnienie, stanowiące liche preludium do koszmaru, który dopiero miał nadejść.

Zjechała z dziewięćdziesiątki trójki za Ognicą, w wąską odbitkę w prawo, a dalej skręciła w drogę gruntową, na której czekał Grześ. Była wściekła, wystraszona i zagubiona. Czuła, że jak na jeden dzień spotkało ją nieco za dużo. Przez całą drogę rósł w niej wielki gniew. Miała ochotę nawtykać synowi i wytoczyć całą typowo matczyną artylerię pretensji i żalu. Przeszło jej jak ręką odjął, kiedy tylko zobaczyła jego twarz. Od dawna nie widziała go w takim stanie. Zalewał się łzami i przepatrywał wszystkie krzaki niemal z paniką. Dawało się wyczuć, że znacznie bardziej boi się o psa niż o własną skórę.

Wyskoczyła z samochodu, dopadła do chłopca i natychmiast go przytuliła.

– Znajdziemy ją – zapewniła.

– To moja wina... – wybąkał przez zatkany nos.

– To, że jesteś tutaj, na pewno, ale to, że Kufa gdzieś się zapodziała, już niekoniecznie. Nie wiadomo, co jej strzeliło do głowy.

To nie jest wielki teren, tam dalej zaczyna się przecież osiedle.

Pierwszy raz tu łaziliście?

– Nie – przyznał.

Edyta nie wiedziała, czy się z tego cieszyć, czy jeszcze bardziej wkurzyć.

– Czyli zna okolicę. Trafi stąd do domu?

– Na pewno. Ona z każdego miejsca trafi – oświadczył Grześ z zapalem.

Kręcili się w pobliżu auta, chodząc wzdłuż ścieżki, którą chłopiec wędrował wcześniej z Kubą. Nawoływali i gwizdali. Bez skutku.

Po suce nie został żaden ślad.

II

Rawicki wziął trzy głębokie oddechy, a potem powoli wstał i ruszył za Szymonem. Czuł się jak debil, jak miękka, niedorobiona kluska. Ale się zbłądził! Gówno, nie wsparcie dla Hendrixa, i to w sytuacji, kiedy rozklejanie się było zupełnie nieuzasadnione. A przecież obiecał Ani – i sobie samemu – że będzie twardy, że nic go nie złamie...

Ech, w nosie z tym, w nosie ze wszystkim.

Spotkał ich obu tuż za drzwiami łazienki. Z twarzy Jędrka zniknęło to okropne napięcie, oblepiające ją niczym martwa maska.

Bliński był tylko nienaturalnie blady. To, co najważniejsze, Maciak zdążył mu już przekazać.

– Wszystko okej, stary? Dobrze się czujesz? – zagaił z niepokojem szwagier, bo Wojtek wyglądał na mocno skonsternowanego swoim występowaniem przy sedesie. – Pozwolisz mi teraz wejść? – dodał, zwracając się do Szymona.

– Po co? Czego się rwiesz? Spójrz na niego, to nie są miłe widoki.

– Na wszelki wypadek.

– Nie wierzysz mi?

Obaj obrzucili Rawickiego uważnym spojrzeniem.

– Ty zostajesz – huknął do niego Maciak. – Idź na krzesło i zaprzyjajnij się z flaszką, skoro Endriu wzgardził.

Wojtek bez dyskusji wykonał polecenie. Usiadł z cichym stęknieniem.

Zafilował na kobietę w rejestracji bezradnym spojrzeniem zbitego psa. Podniosła wzrok znad *Pocałunku morza* i puściła do niego oko.

– Niech się pan nie przejmuj. Policjanci są odporni, ale normalni ludzie często tak reagują, nawet jeśli bardzo chcą uchodzić za macho. Ta toaleta widziała już niejedno.

Uśmiechnął się blado, próbując dać jej znać, że docenia uwagę i troskę. Złapał w garść butelkę wódki i przez chwilę ważył ją w dłoniach.

– Nie radzę – ostrzegła. – Chyba że marzy się panu powtórka z rigoletto.

Ciągle pan biały jak papier. Może herbaty panu zrobię, co?

– Nie – bąknął. – Dziękuję. Za chwilę wychodzimy.

– Czyli to nikt bliski?

– Nie. Na szczęście nie.

Po chwili w końcu korytarza ukazał się Jędrak. Szedł dosyć sztywno i oddychał głęboko. Za nim pędził niespokojny Szymon. Machnął tylko ręką na Wojtka i we trzech wypadli z ulgą na chłodne, rześkie powietrze. Na niebo od wschodu wpełzało nieśmiało światło dnia.

Przycupnęli na murku, wyciągnęli papierosy i przez chwilę palili w ciszy.

– Jeśli chcecie, w ramach relaksu możecie się ze mnie ponatrząsać

– sarknął w końcu Rawicki, żeby przerwać milczenie.

III

Zszedł na dół i wślizgnął się do gabinetu. Palila się nocna lampka, chociaż Ania już spała. Obok na materacu leżała otwarta książka. Zamknął ją i odłożył na biurko, żeby nie spadła. Zasuwał rolety i z ociąganiem udał się do łazienki. Wrócił po kwadransie, położył się przy żonie i objął ją, kładąc rękę na dużym brzuchu. Od razu poczuł drobne ruchy dziecka, bo jego syn wiercił się i rozpychał. Ha, syn! To niesamowite, że tak nagle i niespodziewanie się ujawnił... Jak to nazwała Zuzia?

Pitolek? Tak, pitolek. Ależ go wystraszyły tym USG. Ech, te baby!

Od dzisiaj rzuca palenie. Po co mu fajki, skoro ma najlepszą żonę na świecie? Odgarnął nosem miodowe włosy, nie mogąc się powstrzymać, żeby jej nie pocałować. Przeciągnęła się leniwie i zamruczała:

– Wstajesz?

Uśmiechnął się, ledwo panując nad tym, by nie parsknąć.

– Nie, kochanie, właśnie się położyłem.

– To dobrze – sapnęła, a później odwróciła się i przytuliła głowę do jego ramienia. – Pośpię wreszcie przy tobie.

Tego właśnie najbardziej mu brakowało.

Długo jeszcze tak leżał, patrzył na nią i wdychał zapach swojej

kobiety, domu i spokoju. Zostały cztery tygodnie do porodu. Nawet jeśli ich syn zdecyduje się wyjść wcześniej, już nic poważnego mu nie zagrazi. Było dobrze, może nawet doskonale. Wszystko wracało do normy.